



# Prywatny czy państwowy?

## Amerykańskie uniwersytety w skrócie

TOMASZ TAYLOR

W Polsce rozwija się dyskusja nad zaletami i wadami prywatyzacji szkolnictwa wyższego. Jako fizyk pozostaję zwykle na marginesie zagadnień społecznych i politycznych, tym niemniej mogę podzielić się kilkoma spostrzeżeniami z Ameryki.

Świetnie pamiętam moje zdziwienie i wręcz niepokój, kiedy w maju 1989 r. dowiedziałem się, że Uniwersytet Northeastern, który zaproponował mi posadę w Bostonie, jest „prywatny”. Obawiałem się, że właściciel, paląc cygaro, rozkaże mi skonstruować teorię antygravitacji, pozwalającą na odbijanie sowieckich pocisków rakietowych. W rzeczywistości nie ma takiego właściciela, palenie jest zabronione (antygravitacja nie istnieje, ale pociski pozostały), a Northeastern, który jest jednym z dużych prywatnych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych (około 20 000 studentów), jest w gruncie rzeczy bardzo podobny do uniwersytetów państwowych. Chciałbym wyjaśnić, że w kontekście Ameryki, państwowy – „State University” oznacza uniwersytet stanowy, czyli dofinansowany bezpośrednio z budżetu stanowego, ponieważ tylko kilka uczelni, głównie akademii wojskowych, utrzymywanych jest przez rząd federalny. Kalifornia ma największą sieć uniwersytetów stanowych, w których studiuje prawie ćwierć miliona osób.

Z reguły uniwersytety prywatne są mniejsze od stanowych. Największy prywatny uniwersytet to New York University, na którym studiuje 38 000 osób, podczas gdy uniwersytety stanowe mają często więcej niż 50 000 studentów. Słynne na całym świecie uczelnie, takie jak Harvard (21 000), Stanford (16 000) i Princeton (8 000) są prywatne. Uniwersytety te są zarządzane przez niezależne rady powiernicze. Ich budżet oparty jest na dochodach z fundacji („Endowment” – pochodzące z darowizny) i opłatach studentów. Badania naukowe sponsorowane są

przez granty pochodzące zarówno od prywatnych przedsiębiorstw, jak i od władz federalnych. Wysoka jakość badań naukowych zapewnia, że doskonałe uczelnie prywatne wygrywają wiele konkursów o finansowanie projektów badawczych. Istnieje także ogromna liczba małych, często całkiem dobrych uczelni, zwanych „College”, dla 2 000 lub 3 000 studentów.

Z polskiej perspektywy trudno zrozumieć, dlaczego zdolni licealiści marzą o dostaniu się do Amherst College, Wellesley College lub Swathmore College, o których nikt nie słyszał poza Stanami Zjednoczonymi. Te uczelnie nie mają nawet programów doktoranckich! Ponadto są nieprawdopodobnie drogie: strona internetowa Amherst College podaje w tym roku akademickim 63 259 dolarów jako „koszt uczęszczania”, czyli czesne, akademik etc. Co w zamian oferuje? Zajęcia w małych grupach, zwykle mniej niż 15 studentów w sali wykładowej, a więc bliski kontakt z nauczycielami akademickimi, którzy są całkowicie oddani pracy dydaktycznej. Intensywny program studiów zmusza studentów do stuprocentowego skupienia się na nauce. Małe uczelnie prywatne przyciągają studentów z ogólnymi zainteresowaniami, nazywanymi tutaj „liberal arts”, zwykle z rodzin podobnych do siebie pod względem etnicznym i zarobkowym. Harvard i większe uczelnie prywatne przyciągają bardziej różnorodne grupy studentów z bardziej konkretnymi zainteresowaniami.

Większość Amerykanów, około 70% według Ministerstwa Edukacji (Department of Education), studiuje jednak na uniwersytetach stanowych, które są podobne do mojej Alma Mater – Uniwersytetu Warszawskiego. Uczelnie te dofinansowane są przez władze stanowe, co pozwala na obniżenie opłat studenckich. Ich rady powiernicze kontrolowane są przez rządy stanowe. Jeśli cho-





dzi o poziom naukowy, uczelnie te nie ustępują prywatnym. Pamiętam moje zaskoczenie, gdy na seminarium na uniwersytecie stanu Illinois w Champaign-Urbana pojawił się wynalazca tranzystora i twórca teorii nadprzewodnictwa, John Bardeen. Sam kalifornijski uniwersytet w Berkeley może pochwalić się 22 laureatami Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Uczelnie stanowe są silnymi konkurentami w państwowych i prywatnych konkursach o finansowanie projektów badawczych.

Paradoksalnie, z ideologicznego punktu widzenia uniwersytety stanowe są bardziej „amerykańskie” od prywatnych, bo proponują lepszą ofertę: podobny produkt wyższego wykształcenia, ale znacznie taniej. Podczas gdy czesne na uniwersytecie Harvarda kosztuje w tym roku 38 000 dolarów, Kalifornijczyk może studiować w Berkeley za 7 000 dolarów. Nawet 7 000 dolarów może wydawać się astronomiczną sumą – należy jednak pamiętać o wielu możliwościach stypendiów i nisko oprocentowanych pożyczek z kas stanowych i federalnych. W praktyce nie zdarza się, aby zdolny ale biedny licealista musiał rezygnować z przyjęcia na drogi uniwersytet. Poza tym, w odróżnieniu od Polski, wielu studentów pra-

cuje zarobkowo wieczorami i w weekendy. W Berkeley prawie wszystkie restauracje obsługiwane są przez studentów.

Jaki jest z tego morał dla Polski? Polskie uniwersytety są po prostu za duże, aby naśladować model amerykańskich uniwersytetów prywatnych. Poza tym, trudno sobie wyobrazić, aby Uniwersytet Warszawski lub Jagielloński nagle zebrał 32 miliardy dolarów darowizny, uzbieranej przez Harvard University w ciągu trzystu lat, a nawet 600 milionów spoczywających w kasie mojego uniwersytetu jest nieprawdopodobne. Model uniwersytetów stanowych, w szczególności sieć Kalifornii, jest bardziej realistyczny. Teoretycznie budżet oparty nie tylko na funduszach państwowych, ale także na opłatach czesnego, jest możliwy, pod warunkiem, że studenci będą mieli szeroki wybór stypendiów i pożyczek, a program studiów pozwoli na pracę zarobkową po zajęciach. Brak wyraźnej korelacji między poziomem programów badawczych i formalnym właścicielem uniwersytetu wskazuje na ważną rolę rad powierniczych, państwowych lub niezależnych od organów państwowych, w popieraniu działalności naukowej.

TOMASZ TAYLOR

Department of Physics, Northeastern University  
Boston, MA 02115, U.S.A.

# Wreszcie radość

MAGDALENA BAJER

Od początku, tj. od ośmiu lat, mam zaszczyt i przyjemność być jurorem w konkursie „Forum Akademickiego” (FA), zatytułowanym „Skomplikowane i proste. Młodzi uczeni o swoich badaniach”. Za zaszczyt organizatorom dziękuję, a przyjemność nie jest tym razem słowem z okolicznościowej formułki, lecz wyznaniem autentycznego przeżycia, które chcę przybliżyć Czytelnikom „PAUzy Akademickiej”. Tym bardziej że w numerze 197 tygodnika mieliśmy (czytelniczy i redakcja) podobną przyjemność – przy lekturze artykułu o Wrocławskiej Akademii Młodych Uczonych i Artystów.

W konkursie „Forum Akademickiego” uczestniczą najczęściej doktoranci lub świeżo upieczeni doktorzy, niekiedy ludzie po magisterium – z bardzo różnych dziedzin. Rejestr podejmowanych tematów jest interesującym i wymownym świadectwem różnorodności zainteresowań, a także śmiałego sięgania po problematykę nową i najnowszą, gdzie obietnice znaczących wyników nie są „pewniakami”, ale stanowią ponętną szansę na znalezienie się wśród czołówki. Celem organizatorów jest poznanie owej mapy zainteresowań, zarazem uczestnictwa

ludzi przed trzydziestym piątym rokiem życia w nauce, a także wyłowienie talentów w dziedzinie popularyzacji nauki, żeby je wspierać, najpierw przez publikowanie na stronach FA najlepszych prac, dalej może poprzez inne formy mecenatu.

Rozstrzygnięty w grudniu ub. roku konkurs był w mojej – wiekowego dziennikarza „naukowego” – ocenie przełomowy. Spośród 174 nadesłanych prac (liczba parokroć przewyższająca poprzednie edycje) trudno było wybrać trzy nagrodzone i cztery wyróżnione, jak przewiduje regulamin.

W tym miejscu wypada przedstawić laureatów: pierwszą nagrodę otrzymał mgr Miłosz Cybowski z University of Southampton, Wielka Brytania, za pracę pt. „Polacy w Southampton, zapomniany epizod Wielkiej Emigracji”, drugą mgr Adam Feliks Junka z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu za pracę „Jak potknąć się o słonia, czyli rozważania o biofilmie i antybiotykach”, trzecią dr Szymon Drobniak z Uniwersytetu Jagiellońskiego za pracę „Krótka historia zdrady”, o ptasich populacjach pozapartnerskich badanych na Gotlandii.

